Ner 6. Kraków 9 lutego 1867. Rok II.

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *Hercoka* na Halickiém.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny“, albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr, — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można przez księgarnią Fr. Grzybowskiego w Krakowie — a za pośrednictwem wszystkich księgarni.

☞ Upraszamy Sz. Prenumeratorki, które w zeszłym kwartale półroczną lub roczną prenumeratę uiściły — o zawiadomienie nas przez reklamacyją bezpłatną, czy sobie życzą odbierać „Bibliotekę dla kobiet“?

Z drukiem *Biblioteki*, musimy jeszcze czekać na przybytek 50 prenumeratorów.

O WYCHOWANIU KOBIETY
odpowiedniém jéj stanowisku i powołaniu

podług

Dr. Rudolfa Wirchofa.

(Dokończenie.)

Zupełnie taki sam wypadek zachodzi z ogrzewaniem i zahartowaniem, z opalaniem i przewietrzaniem, ubiorem i pościelą. Wyjaśniwszy najprostszym sposobem podstawę zasadniczą, wszystkiego tego nauczyć można teoretycznie, a to nawet i mierne głowy łatwo i jasno zrozumieją. To przecież mogłoby wchodzić w program każdéj szkoły dla dziewcząt doroślejszych.

Sposobem równie prostym jak pojedyńczym dadzą się także w wielkich zarysach rozwinąć zasady prowadzenia umysłowego, dzieci. Wzorów pedagogicznych jest pod dostatkiem, a może nawet i więcéj, niż dyetetycznych i hygienicznych, a młoda matka spoglądałaby na swoje pierwsze dziecię z większém daleko zaufaniem i pewnością, gdyby nie musiała się przyznać, że to jest dziecię, na którém swe doświadczenia dopiero nabywać musi, na którém mniéj-więcéj samodzielnie i według swych własnych pomysłów robić ma eksperymenta wychowawcze.

To bowiem zaprzeczyć się nie da, że wychowanie familijne stoi na tym samym niskim stopniu, jak np. gospodarka ludowa, jest to bowiem gospodarstwo, pozostawione saméj tylko przyrodzie. Zadaniem teraźniejszości jest: wprowadzić w życie naukę wychowania, któraby wykluczyła wszelkie powtarzające się, zwykle nieszczęśliwe eksperymenta.

Zapewne nie sądzę, aby wystarczająca była taka nauka wychowania, nabyta li teoretycznie w żeńskich szkołach. Jednakowoż daleki jestem od mniemania, aby przypadkowi to zostawić, czy tam bocian przyniesie jeszcze braciszka lub siostrzyczkę, na któréjby starsza siostra mogła nabyć praktyki wychowania. A przecież do tego dojść trzeba, aby praktyka wychowania, wchodziła zwykle w program i część składową wychowania kobiecego.

Do tego służyć mogą zakłady, jakie gmina lub stowarzyszenie wszędzie stworzyć może. Takiemi zakładami są: ochronki, domy kalek, a w wielkich miastach, ogrody publiczne dla dzieci, które dla dorastającéj młodzieży żeńskiéj mogą być zupełnie tém samém, czém dla kształcącego się lekarza młodego, jest klinika i szpital, tj. zakładami kształcenia się praktycznego, gdzie nabyć można wiadomości prowadzenia dzieci, tak w kierunku umysłowym, jak i fizycznym. Do tego posłużyć mogą i inne w miejscu będące zakłady, np. domy podrzutków, domy sierot, a ochronki wszędzie prawie istnieją.

Wszystkie te zakłady są po większéj części bardzo jednostronnie prowadzone, pominięto bowiem tutaj ten cel ważny, że one być mogą zarazem szkołami cnotliwych czynów, wiadomości praktycznych i namacalnych dla młodzieży żeńskiéj jako też seminaryjami dla gospodyń, gdyby tamże doświadczony nauczyciel lub nauczycielka nauczali sztuki praktycznego wychowania, celem uzupełnienia nabytych wiadomości praktyką rzeczywistą.

Dziewczynce małéj dajecie do kolebki lalkę, aby się nią bawiła. Nieco większéj wyznaczacie potem pokój dla lalki, zaopatrując go we wszystkie przybory, sprzęty, kuchenne przyrządy i naczynia. Dla czego? Bo tą zabawą dziecinną chcecie przygotować do późniejszéj czynności w powołaniu kobiety; chcecie obudzić uczucie kobiety, i nauczyć zwyczajnego obchodzenia się z dziećmi i prowadzenia tychże. Bardzo dobrze! Lecz potém następuje wielka przerwa. Lalka idzie w kąt. Świat cały wydaje się pannie tajemniczym. Własne dopiero dziecię jest realnym przedmiotem młodéj matki. Czy nie widzicie, że wychowanie w tym punkcie bardzo chromieje z powodu wielkiego i to najcięższego błędu, jaki popełnia społeczeństwo. Czy nie pojmujecie, że grzechem jest powierzać żywe dziecię matce takiéj, która tylko w lalczynym pokoju wszy-

stkich nabrała wiadomości wychowawczych i tam nauczyła się wypełnienia tych ważnych obowiązków, jakie ją teraz czekają, a która nadto jest obarczoną tak powikłanemi stosunkami dzisiejszego społeczeństwa, ze wszystkiemi jego rozrywkami, dziwacznemi modami kaprysnemi, i zacofaną tradycyją zabobonną.

Ten błąd da się tym tylko sposobem naprawić, jeżeli panienkę, która już odłożyła lalkę na bok, przysposobicie najprzód w szkole żeńskiéj teoretycznie, a póżniéj w zakładach wspomnianych lub ogrodach dla dzieci postaracie się o wykształcenie praktyczne. Ta myśl nie jest tak zupełnie nową, bo już zajmował się nią nie jeden pedagog, lecz trzeba ją wprowadzić w życie, a to jest zadaniem naszych dni. W takiém zajęciu praktycznêm rozwicje się także przykry humor staréj panny i jéj niezadowolenie, a chociaż myśl zupełnéj emancypacyi pominiętą będzie, to niezapominajmy o tém, że największém i najczystszém zadowolenia ludzkiego źródłem nie jest używanie, lecz zrzeczenie się własnowolne z obyczajowych pobudek wykonane. Takie zrzeczenie się dla usług ojczyzny i ludzkości, jest ofiarą z pewnością zarówno Bogu miłą, jako też własne uczucie nie mniéj zadowalniającą, jak mury klasztoru, dokąd pannę zwykle wiedzie: jakaś rezygnacyja jest ofiarą, najsłodszém błogosławieństwem nagrodzoną, jest wspaniałym darem mieszczącym w sobie wzniosłe życia zadanie i poczucie zadowalniające wypełnionych obowiązków.

OPOWIADANIE CIOTUNI.

(Powieść z życia.)

(Ciąg dalszy.)

Taki sposób życia, takie pojęcia były zupełnie przeciwne tak sercu jak i myślom moim. Nie taiłam się ze zdaniami mojemi, a porównywując dom Antosi i Emilki, ujrzałam, że próżność była tu i tam kąkolem, co zagłuszał piękne kwiaty ich ducha, bo jak jedna tak druga miały w sobie zarody uczuć szlachetnych, ale je pokrywały pozłotą szychową, mającą powodzenie w świecie.

Od tego błędu, co i mnie omal do przepaści nie zawiódł, pragnęłam uchronić dzieci méj siostry — przyszłe Polski obywatelki.

Ganiłam więc wobec nich to, co mi się nie podobało. A chcąc nadal moje siostrzeniczki od takiego postępowania w życiu ochronić, zajęłam się niemi wyłącznie. Oprócz tego utworzyłam szkółkę, w któréj mi one pomagały uczyć małe wiejskie dziewczęta. To mnie i im sprowadzało tysiące podziękowań i błogosławieństw od wieśniaków, gdyśmy na przechadzkach z niemi się zdybywały, a razem łączyło uczennice moje z ich wychowankami.

Jedna tylko Wandzia pod pozorem pomagania matce usuwała się z pod mojego wpływu i nadzoru. Prawe oczko matki — istotnie była tém okiem, co umiało każdą rzecz wyśledzić, małą winę podnieść do wysokich rozmiarów, by trafiając w myśl matki, któréj władza była dla niéj ideałem, i na wzór któréj z upodobaniem się kształciła, stać się jéj ciągle potrzebną i módz zaniedbywać naukę, któréj nie lubiła, a która jéj jednak łatwo przychodziła przy jéj roztropności i dowcipie wrodzonym. Dowcip ten, któremu się złośliwie rozwijać pozwalano, robił ją ulubienicą matki, a nawet i ojca, którego kosztem nieraz był żywiony. Ładna zaś twarzyczka, o któréj już dobrze wiedziała, wprawiała ją w zarozumienie. To wszystko zaś razem budziło w niéj pewność, iż się już daléj kształcić nie potrzebuje.

Wandzia mnie nie lubiła, bom jéj nie pobłażała — owszem jako od starszéj wymagałam więcéj — i wystawiałam płochość i nieszlachetność bawienia się zawsze kosztem drugich. Ulegając woli matki, uczyła się ona ze mną, lecz jeślim się tylko nie ograniczyła na słowach książki, jeśli w tłumaczeniu historyi podnosiłam sprawę ludu, jeśli nauczałam stanowiska opiekuńczego kobiety do rodziny, temu pięknemu szatankowi oczy się złośliwie iskrzyły, i pewna byłam zawsze, że wnet ojciec lub matka będą o tém uwiadomieni.

Tak więc różne pojmowanie życia przy nieznośnym charakterze Emilki, musiały pomiędzy nami zupełną wywołać dysharmonię.

Z początku rada była Emilka mojemu zajęciu się dziećmi, bo jéj kłopotu wiele ztąd ubywało. I tak się zręcznie do tego wzięła, że anim się opatrzyła, jak stałam się także rzeczą, którą zużytkowała wedle swéj woli. Najprzód kazano mi się pozbyć przywiezionéj służącéj pod pozorem, iż zbytnią łagodnością psuję ją i rozpróżniaczam, co znowu złym przykładem wpłynąć może na sługi domowe; potém nie wolno mi było uczyć wiejskich dzieci, by pańskie od nich się nie psuły. Nareszcie pięcioro dziatek, pod moją opiekę oddanych, powoli przeniosło się do mego pokoju, z początku na dzień, potém i z łóżkami, a nakoniec należało umyć je, ubrać, uczesać. Poddawałam się temu chętnie, ile żem się do nich szczerze przywiązała; gdy czytanie uważano tam za rzecz niepotrzebną i próżniaczą, to lubiłam opowiadaniem przelewać w młode główki zasady dobrego, i cieszyłam się, widząc się od nich kochaną.

Ale to nie było w planie Emilki. Ona zawsze pierwsza we wszystkiém — chciała mieć tylko we mnie dozorczynią, ślepo jéj woli podległą. W każdym więc moim rozkazie dzieciom wydanym sprzeciwiała mi się. Odrywała ich od nauki tysiącami potrzeb i posyłek. Narzekania ojca że ich zamęczam pracą, sprzeciwiania się niestósowne matki, sprawiały, iż one zaczynały mnie uważać jako istotę zesłaną na ich udręczenie.

— Co ty sobie myślisz? mówiła raz Emilka, (a już

owa maska, ów uśmiech łagodny, będący dla obcych na pogotowiu, dawno już dla mnie nie istniał) — czy ty myślisz, że ja pozwolę na to, byś mi tu bruździła? Dzięki twoim naukom — wczoraj Frozynie, której o głodzie klęczeć kazałam za nieodrobienie roboty, Andzia kryjomo kawałek chleba przyniosła, jakby mi przez to chciała dać naukę, że jestem tyranką, a za Jaryną niedawno to tak Frania płakała, żem aż rózgi użyć musiała, by ją ta egzaltacyja odstąpiła. Proszę cię bardzo takiemi głupstwami, takiemi czułościami nie zaprzątaj dzieciom głowy. Ja chcę mieć z nich praktyczne osoby, coby umiały ład w domu zaprowadzić, a nie jakieś sentymentalne osoby co sercem tylko rządzą. To dobre na deskach teatralnych, piękne w książce, ale na nic w życiu codziennem. Nie na to cię wzięłam, byś dzieciom głowy przewracała.

— Pani siostro! a to na co? mówił Piotruś zaglądając mi w książki — Historyja rzymska, Historyja polska, Ustawa 3go maja. Na co to kłaść w głowy dziewczętom? Na co im te bzdurstwa? One świata przerabiać nie będą — i prawa im nie potrzebne. Dopóki tych głupich praw nie było, wszystko było lepiej! Chcesz aśćka im głowy przewrócić swojemi ideałami, by mi własne dzieci bezrząd w dom wprowadzały i chłopów buntowały? To bydlęta! Ich tylko batem prowadzić można, a i tak nieraz aż krew w żyłach kipi jak się hardo stawiają, a aśćka im jeszcze w głowach przewracasz, pozwalasz przed sobą się skarżyć i pleść Bóg wie co — i roztkliwiasz się nad nimi — i żałujesz, jakby im źle było u nas. Ot, pójdź do Moskwy i przypatrz się, tam panie chłop dzień w dzień na pańszczyznie, ledwie drugą niedzielę ma wolną, by własne pole obrobić; a od dziedzieńca do pańskiego ganku idą na kolanach z odkrytą głową. A u nas! Boże! Boże! co za zuchwalcy! Choćby kto chciał robić nadużycia, inwentarze mu wzbraniają. A jakie tam daremszczyzny! O! to nie tak jak u nas! Od nowego roku do nowego można tém się utrzymać co oni w podarkach zniosą. Tu zaś robi sobie dni kilka ospale, leniwo — i żałować go — tożby się rozpróżniaczył na nic.

Takie i tym podobne rozmowy z początku próbowałam zbijać, okazując przykładami ich fałszywość odwołując się do szlachetności człowieka, do obowiązków Polaka. Próżne były moje usiłowania! Przesądy zastarzałe, nałóg nieszczęsny panowania i swawoli brał górę nad rozumem. Przemawiano się ze mną, krzyczano żem idealistka, później nie szczędzono wyrazów ostrzejszych, dotkliwszym sposobem dano mi uczuć, iż powinnam zastósować się do pojęć domu, każda myśl moja, każde zdanie zostawało za pierwszém słowem już z góry wyśmiane, wyszydzone.

Wśród tego koła źle pojętéj a okropnéj praktyczności, co mię jak wicher pustyni dusiła — wśród chłodnéj obojętności zamknęłam się sama w sobie, milczałam, nie sprzeczałam się już; a gdy mię ból przytłaczał, wtenczas jawiła się przed oczami méj duszy wzniosła postać przewódzcy méj duszy, mego anioła opiekuńczego. I widziałam jak wieniec cierniowy zawiedzionych nadziei i uczuć ranił mu czoło — i nie bolały mnie kolce, które się i mnie dostawały w udziale — ale nabierałam sił nowych, bo choć rozdzielona przestrzenią, z nim razem dążyłam do celu dalekiego, lecz promiennego blaskiem szczęścia milijonów!

A jednak bywały chwile słabości i zniechęcenia, co gorzéj, chwile okropnego zwątpienia. W danych nam okolicznościach praca nawracania jest w istocie pracą Syzyfa. Ledwie ucieszy nadzieja skutku zamierzonego, a już jak kamień stacza się znowu napowrót — i potrzeba wielkiéj siły miłości i przekonania, by rąk nie opuścić i dzwignąć go napowrót.

Więc były chwile zwątpienia — nie w cel — lecz w siebie samą — i karcona wiecznie za swe przekonanie, pytałam siebie nieraz czy dobrze robię? i jaki owoc z méj pracy? Ale znów się podnosiłam duchem i w téj walce moralnéj — sama — bez nikogo, coby mię wsparł i zrozumiał, choć traciłam siły i zdrowie, ale pracowałam wytrwale. Nie spierałam się już, nie stawiałam żadnéj opozyi, ale swych przekonań nie zmieniałam, czułam się pożyteczną, przyjęte obowiązki pełniłam ściśle, nie mogłam wiele, jednak co mogłam robiłam dla siebie, dla Boga, dla przyszłości!

Tak lat kilka minęło. Dzieci się uczyły i korzystały. Emilka się cieszyła, bo mówiły już płynnie po francusku. Wandzia już słuszną była panienką, i właśnie w dzień jéj urodzin, w dzień zupełnego wyzwolenia od nauk, urządziłam powszechny popis. Wychowanki moje odpowiadały śmiało i dobrze. Pierwszy raz od przyjazdu odebrałam siostrzeński uścisk Emilki — nawet Piotruś zdobył się na podziękowanie przeplatane westchnieniem, że umieją więcéj jak potrzeba: przybyli goście podziwiali pojętność dzieci i powinszowania składali rodzicom. Ja byłam bardzo uradowaną, uradowaną, że moje starania nie były daremne, i że przyczyniłam się choć trochę do ukształcenia w nich serca i umysłu. Tak szczęśliwa jak nigdy wyszłam do ogrodu i chcąc pozostać sama z myślami miłemi, usiadłam w gęstym drzew cieniu.

Pomiędzy gośćmi przybyłymi w ten dzień, był niemłody pan X., poczciwy gospodarz, szczery a prawy człowiek, któren się zapoznał z lodami Sybiru i lat dwadzieścia wysłużył w sołdatach moskiewskich. Lubiłam nieraz słuchać jego opowiadania o życiu naszych braci, co kośćmi swemi wytyczają drogę po sybirskich stepach.

Słuchałam go zawsze uważnie, rozpytywałam się o szczegóły, szanowałam go jako jednego z męczenników naszych, ale prócz szacunku nic czułam nic dla niego,

i jegom nie podejrzywała o nic innego, jak tylko o życzliwość dla siebie.

Tymczasem dumając tak usłyszałam jakieś głosy w pobliżu i usłyszałam moje imie. Naturalną wiedziona ciekawością, zwróciłam uwagę na toczącą się rozmowę i poznałam głos Emilki.

— Ja panu szczérze sprzyjam — mówiła — i dla tego téż wcale mu tego kroku nie radzę. Ona nie jest wcale praktyczną osobą. Żyje tylko w ideałach, gotowa dzień cały z książką przesiedzieć. Mająteczek pana zniszczyłaby zupełnie swemi wymysłami. Zawsze chora, samotna, zanudziłaby pana zupełnie.

— Czy tak? rzekł na to pan X. (bo z nim to rozmawiała), a ja widząc ją tak zajmującą się dziećmi — dzieci tak do niéj przywiązane, miałem ją za dobrą i łagodną, i myślałem, że mi pomoże w zajęciach, że mi ład w dom wprowadzi i odpocznę przy niéj.

— O! co tego, to pan się zupełnie nie spodziewaj — bo między nami mówiąc, ona jest zupełnie do niczego. Nie umie wzbudzić posłuszeństwa, rozpróżniaczyłaby wszystkich. Potrzeba tylko tak dobrych dzieci jak moje, by się przy niéj nie popsuły. Zajmuje się niémi w istocie bardzo mało, tylko że dzieci pojętne, same się douczają. Ale gdyby nie ja — Bóg wie jakbyto szło wszystko. A przytem.... i w sam czas urwała, by resztę zostawić jego domysłowi.

— Więc to tak! mówił przeciągłym głosem pan X. którego snać przestraszyło i moje zdrowie i wymysły i próżniactwo.

— A tak! potwierdziła znacząco Emilka — nic się jéj tu nie podoba, z niczego niekontenta. Ot! zwyczajnie! panna już w łatka zachodzi, to i niczém dogodzić nie można.

— Dziękuję pani dobrodziejce! Mam sobie jéj rady za prawdziwie przyjacielską życzliwość.

— Może to i nie stosowne com powiedziała o tak blizkiéj kuzynce — mówiła Emilka, ale nie umiem się maskować. U mnie prawda przedewszystkiem.

— Co za szlachetność wykrzyknął pan X. i odszedł, a ja jeszcze zdumiona słyszaną rozmową, badając siebie, czém na taki opis kochanéj siostry mogłam zasłużyć — usłyszałam znowu śmiech Wandzi.

— O źle mateczka zrobiła! trza było poblogosławić. Dobrana para, ha! ha! Jakby to dla nas szczęśliwie było, dać jéj krzyżyk na drogę, i pozbyć się z domu raz przecie.

— Cicho! cicho! figlarko! Już ja o tém sama myślałam, widzę, że ci zawadza. Aleś i już skończyła nauki, nie będziesz miała potrzeby jéj ulegać, a musimy z tém czas jakiś poczekać, bo wiesz, jak nauczycielki drogo kosztują — a niema pieniędzy. Ciotka i książki sama kupuje, i dzieci wiele korzystają, bo dokłada starania.

— Och! to nie mateczko! Już one dosyć umieją, mogłyby i teraz skończyć nauki. Byleby się pozbyć téj nudziarki, gotowabym sama niémi się zajmować.

— O! czyżbym ja pozwoliła, byś się tak męczyła! Ty nie wiesz co to za mozolna praca uczyć. Nie, jabym tobie nie pozwoliła. A głos jej drżał macierzyńskiém uczuciem.

Słuchałam i zdrętwiałam cała. Zastanowiłam się nad swém położeniem, i zlękłam się swego losu. Sierota w świat rzucona na litość krewnych — to parja społeczeństwa. Dla niéj wyjątkowe istnieją przepisy postępowania, dla niéj życie jest polem zasługi, ale nigdy nadgrody. „Nie pozwoliłabym tobie moje dziecko się męczyć“. Te słowa czepiły się jak oset méj duszy i dręczyły mnie. Więc umęczenie i trudy — to mój udział, a za to ani wdzięczności, ani dobrego słowa, jeno bezlitośny chłód.

Po raz drugi usłyszałam siebie nazwaną kuzynką i po raz drugi serce mi się zakrwawiło. Lecz nie zapłakałam, ani omdlałam, ani upadłam na duchu; słowo to nic mi nowego nie przyniosło, od dawna nie czułam się siostrą w tym domu. Z całéj téj rozmowy gorzkiéj jedno tylko utkwiło mi głębiéj w pamięci, to jest, iż byłam potrzebną. Uznanie tego przez drugich mimowolną dumą sercu mi napełniło i dziękowałam Bogu, że mi nie dał być pasożytem, co rośnie i ginie bez pożytku, i postanowiłam pracować jeszcze więcéj, a szczególniéj nad Bogutką moją ukochaną pieszczotką i panować jeszcze silniéj nad sobą. Nie chciałam, nie potrzebowałam już miłości — uznania, a szacunek postanowiłam sobie wywalczyć.

Tymczasem nadszedł okropnego wspomnienia rok 1846. Wieść o tém co się działo w okolicach Tarnowa, doszła i do nas. Zgrozę, przestrach i oburzenie mieszkańców Ukrainy łatwo może sobie każdy wystawić. Oni, co się mieli za pół-bogów, naraz przeczytali krwią bratnią wypisane straszne słowo: odwet! Napróżno chciano zagłuszyć wrażenie i zakląć bojaźń wspomnieniami dobrych uczynków, napróżno powtarzano: nasi by tego nie uczynili — cóż my im złego zrobili?... Ja zawsze byłem sprawiedliwy — mówił jeden. Mnie moi ludzie kochają, wiem o tém — upewniał się drugi. Ja im co rok daję zapomogę — dorzucił trzeci. Napróżno, mówię, były te zapewnienia, bo mimowolnie stawało w pamięci owego sprawiedliwego — że sto plag było najzwyklejszą karą za lekkie przewinienie — bo ten, co mówił o miłości swych ludzi, przypomniał sobie niejedną krzywdę im wyrządzoną, a ów miłosierny musiał przyznać przed sobą, że zapomogę dawaną z lichwą mu odrabiano.

To też nad obywatelami zawisła bojaźń jak czarna chmura ciężarna gromami — i oni przed jéj groźbą pochylali czoła — i w dziwnéj niepewności co począć — czego się spodziewać mają — cichym szeptem wciąż się naradzali.

— Ej co tam! mówiła młodzież — nie damy się, wstyd byłby lękać się chamów.

— Co ty mówisz! zakrzyczano go. Czyż nie wiesz!... to zwierz, to bydlę!... Co począć?... Sprowadzić wojsko... wyjechać do miasta... tam bezpieczniéj....

Zmieniły się role. Panowie drzeli przed niewolnikami. Och nie! oni drzeli przed własném sumieniem.

Wtedy to odebrałam list z czarną pieczęcią. W nim znaną ręką skreślone wyrazy: Na prawdę — na pracę — na poświęcenie. Tam do widzenia.... Były to nasze ostatnie słowa przy pożegnaniu.

A niżéj jakby szczerniałe — jakby krwią zakrzepłą pisane: Módl się za mnie....

Pojęłam wszystko.... Świat o jedno serce osierociał.

Co się działo potém czas jakiś w domu — nie wiem; straszliwa maligna rzuciła mnie na łóżko. Gdym przyszła do siebie, usłyszałam niezwykłe krzątanie się w domu, gwar ludzi, turkot zajeżdżających powozów.

Nie było przy mnie nikogo, nie mogłam wiedzieć co to ma się znaczyć. Gdym naraz usłyszała płacz Bogulki.

— Mamo! weźmy ciotunię ze sobą! ja nie chcę, ja nie pojadę bez ciotuni!

— Cicho Bogulko! Ciotunia śpi. Ciotunia potém do nas przyjedzie — uspokojała matka.

— Jedźmy! Jedźmy! wołała Wandzia — tegoby brakowało, żeby ją z sobą wozić!...

Co to miało znaczyć? nieumiałem myśli zebrać w gorączce, gdy naraz drzwi się otworzyły i przez nie wbiegła cicho Bogatka.

— Raz tylko! raz ciotunię pocałuję, prosiła się kogoś i na paluszkach zbliżyła się do mnie, na paluszkach się wspięła, by dostać do twarzy, a widząc, że nie śpię i rękę do niéj wyciągnęłam. —

— Nie bój się ciotuniu! mówiła. Ja muszę jechać — mama każe. Ale z rana i wieczór będę się modlić do Bozi, by tobie źli ludzie nic złego nie zrobili, i poproszę, że prędko do ciebie wrócimy.

Myśli moje powoli przychodziły do ładu, pojęłam — uciekali przed buntem spodziewanym.

— Jedź! jedź dziecino — mówiłam, słuchaj mamy „i módl się“ o! módl za mnie aniołku!

— Ale ty się na mnie nie gniewasz? ty mnię kochasz? pytała dziecina z łezkami w oczach.

Poczciwe serce, co jeszcze nie umiało rezonować, czuło, że niedobrze robiono, zastawiając mnie.

Przyciągłam ją do siebie i ucałowałam po stokroć.

— Bogulko! dał się słyszeć głos Emilki.

Dziecina zeskoczyła z łóżka — pobiegła do matki i porwała ją za rękę.

— Mamo — przemówiła prosząco, weźmy ciotunię z sobą....

Emilka spojrzała na nią ostro, a widząc, że nie śpię, widocznie zmięszana, czuła się w obowiązku coś przemówić.

— Chwała Bogu, że ci lepiéj — to już będę spokojniejsza; bardzo mi przykro, ale musimy jechać — pojmujesz.... mąż.... dzieci.... słowa się jéj jakoś nie składały. Bądź zdrowa, dokończyła podając mi rękę.

— Żegnam cię, powiedziałam, wyciągając dłoń ku niéj.

Bogulka na rękach matki, od ust mi ostatnie, przestała pożegnanie.

Wkrótce klaskanie z bicza, turkot pojazdów oznajmił mi, że wyjechali.

Po chwili cisza zupełna nastała.

(Dok. nastąpi.)

NOC KARNAWAŁOWA.

(Dokończenie.)

I przypomniał sobie jak do dwora
Poszedł z listem jednego wieczora,
I kiedy go brytany obsiadły,
A on krzyczał o pomoc wybladły,
Pan, co w ganku siedział z swoją córką,
Śmiał się z tego patrząc na podwórko,
Szczuł brytany, trząsł się z śmiechu cały,
Że psy żyda za nogi targały,
Że on zbielał z strachu jako kreda,
I dziewczęciu swemu, co strwożone
Chciało lecieć jemu na obronę,
Rzekł: niech trochę poturbują żyda.

Owa chwila mu się przypomniała,
I spłonęła od gniewu twarz biała —
Machnął ręką i splunął na ziemię
I zasyczał: niech zginie to plemię.
Na co litość? —
Wtém do izby wpada
Szlachcic stary — a na ręku blada
Wpół uśnięta a na pół omdlona
Wisiała mu córka ulubiona.
— „Skryj nas żydzie“ — szlachcic mu powiada,
Prosi, choć go prośba dławi, krztusi,
Że uciekać, bać się, prosić musi.
Ale musi, by ratować córkę —
Ujrzał ciemną otwartą komórkę
I poskoczył tam skryć swoje dziecko: —
A żyd spojrzał się za nim zdradziecko.

V.

Wkrótce potem znów tłuszcza rozjadła
Dzika, pijana, do alkierza wpadła,
— „Gdzie? gdzie szlachcic?“ — pytają go krzyki —
Żyd się wacha — patrzy na tłum dziki

I mignęła mu w oczach chęć mściwa,
Wskazał ręką i wraz się odzywa:
„Tam jest szlachcic!“....

Pośród cepów szczęku
Skonał szlachcic bez skargi, bez jęku —
Tylko córka zbudzona cepami
Raz przed śmiercią krzykła z całéj mocy,
Żydziak uszy swe zatkał rękami,
I uciekał w pola w ciemnéj nocy
Przed tym krzykiem strasznym, co się zdawał,
Że przekleństwo na niego wydawał,
I ten krzyk gonił go przez ciemnice.

Aż zmęczony osłabły na siłach,
Padł gdzieś w polu na świeżych mogiłach
Żyd i wołał: hej, ja wasz szlachcice,
Ale czemu, czemu żyd psem tobie?
„Mów szlachcicu!“ — i pięścią po grobie
Bił szalony żydek z całéj siły,
Jakby głośném chciał zgłuszyć wołaniem
Krzyk dziewczęcy, co wciąż gonił za nim,
Jakby prosił się świeżéj mogiły,
By rozwarła się czarném sklepieniem,
I skryła go przed własném sumieniem.

VI.

Przeminęła ta noc karnawału,
I pieśń ludu mściwa pełna szału
Już przebrzmiała — i proch popielcowy
Posypał się na pokutne głowy; —
Znów post długi — a kiedyż o Panie
Wielkanocne przyjdzie zmartwychwstanie?
Kiedyż ludzie, co dzisiaj w roztercc
Złączą dłonie i zbratają serce?
Kiedyż hardzi swéj dumy się zbędą,
Kiedyż mściwi kochać znowu będą —
Kiedyż winni w piersi się uderzą,
A ci co bez wiary są — uwierzą?
Próżno wzrok wytężam w przyszłość ciemną —
Jeszcze świty daleko przedemną.

M. Bałucki.

Kobiety dramatów Słowackiego.

I.

(BALLADYNA.)

Balladyna. — Alina. — Wdowa.

(Ciąg dalszy.)

Tak więc jak Sofokles z przedhistorycznych czasów, z mytów i podań brał treść do swych tragedyj — tak i Słowacki chciał odbudować w swych dramatach przedchrześciańską Polskę, — a że kroniki słabe rzucały światło na te czasy, zbyt skąpe były w słowa, więc sięgnął do podań i baśni, krążących między ludem i z tego wszystkiego złożył obrazy owych czasów, w których nowe pojęcia chrześcianizmu wikłały się jeszcze z pogańskiemi wyobrażeniami, kiedy świat duchów i rzeczywistości nie rozdzielił się jeszcze i wzajem oddziaływał na siebie, kiedy zamki rycerzy i chaty wieśniackie w patryjarchalną jeszcze składały się całość.

Poeta wiedziony instynktem poetycznym odtwarza nam te czasy w Balladynie.

Spotykamy w niéj i podania kronikarzy o Popielach, o wędrówce trzech króli od żłobka Chrystusa i legendy ludowe: piszczałkę wykręconą z wierzby, co rosła nad grobem zabitéj siostry, o panu w złotéj karecie, który zażądał malin od swéj przyszłéj żony, o ludziach przemienionych w drzewa — i tym podobne rzeczy wzięte z baśni i wyobrażeń ludowych — a wśród nich występują trzy wybitniejsze postacie kobiece: Balladyny, Aliny i ich matki Wdowy. Goplana bowiem jest tylko upostaciowaniem natury, która ze swemi geniuszkami złémi i dobrémi, miesza się w sprawy ludzkie i wpływa na nie o tyle, o ile natura może mieć wpływu, ile pogwałcone jéj prawa mścić się mogą na ludziach. Ona każe Chochlikowi zepsuć mostek koło domku wdowy i przez to ułatwia poznanie się Kirkora z jéj córkami — mści się na Balladynie, gwałcącéj siostrobójstwem naturę — czerwoną plamkę na czole, która ją oskarża potém przed ludźmi — a w końcu ta Goplana kocha się w Grabcu: lekka, powiewna, poetyczna istota kocha się w rumianym chłopie i zlewa na niego swoje względy i dary, wysila się na wszystkie możebne poświęcenia, byle uzyskać miłość nieokrzesanego i prozaicznego kloca.

Kiedym pierwszy raz czytał Balladynę, nie mogłem pojąć téj miłości Goplany do Grabca — dziś, gdym się w życiu napatrzył Grabcom, obdarzonym przez szczodrą rękę natury pięknością, siłą, urodzeniem, zaszczyconym względami kobiet — rozumiem i nie dziwię się wcale.

Tyle o Goplanie, która jako istota stojąca po za światem rzeczywistym, nie wchodzi w zakres téj rozprawy. Przejdę więc do saméj Balladyny.

Gdyby Balladyna nie była tak głęboko tragiczną, możnaby ją uważać za ostrą satyrę owego kierunku, w jakim szła literatura w czasie, gdy Słowacki pisał swój dramat. Była to bowiem epoka, w któréj zwrócono się do ludu, i w jego poezyi i podaniach szukano ożywczych źródeł dla otrzeźwienia tych, co już ziewać poczęli nad wygładzonemi rymami tak zwanych klasyków.

Nie potrzebuję mówić jak wielki wpływ wywarło to na rozwój naszéj literatury, ale ta miłość do ludu i jego poezyi przeszła u wielu w przesadę, pieśń gminna stała

się szczytem poezyi. w ludzie tylko samym widziano prawość, cnotę, niewinność, uczucie, każdy prawie poeta zachwalał jak pustelnik Kirkorowi „słomiany dach, prostotę i ubogą dziewczynę“. — Słowacki w Baladynie pokazał fałszywość tego zapatrywania; pokazał, że zbrodnia wszędzie znajdzie dla siebie urodzajną glebę, i w pałacu i w chacie; że kobieta złego serca i wielkiéj próżności będzie złą czy jako królowa, czy jako chłopka.

Są, którzy w Balladynie upatrują podobieństwo do Lady Makbet, jéj obejście się z matką porównywują do srogości złych córek Leara. — Podobieństwo to jednak jest tylko pozorne, zewnętrzne. Balladyna jest równie okrutną córką, jak dwie córki króla Leara, ale tamte do okrucieństwa i zdeptania miłości dziecięcéj skłania tylko chęć posiadania dziedzictwa, Balladynę zaś ów wstyd swego pochodzenia, swéj przeszłości. Kobieta próżna z żądzą wyniesienia się druzgocze wszystkie szczeble, po których szła do wielkości — pali za sobą wszystko. Jedną z tych ofiar na drodze do wielkości jest matka. Motywa więc są o wiele głębsze, bardziéj przerażające. Lady Makbet pchająca rękę męża do zabójstwa, zasługuje po części na usprawiedliwienie, bo w żądzy jéj wyniesienia się jest odrobina przywiązania do małżonka — Balladyna robi tylko dla siebie i dlatego jest bardziéj odrażającą, potworną. Podobieństwo więc jest tylko zewnętrzne — od którego i Szekspir nie był wolny; nie trudno bowiem dopatrzyć się w jego niektórych dramatach podobieństwa do włoskich dramatów i do jego poprzedników w Anglii, od których nieraz żywcem brał treść i sytuacyje.

Co się tyczy Słowackiego, nikt może trafniéj nie określił jego stosunku i pokrewieństwa duchowego do Shakspearea, jak Krasiński. który pisząc o Balladynie, powiedział: „Shakespeare porodził ją w głowie Słowackiego.“

W pierwszém zaraz przemówieniu naznaczył nam poeta Balladyny charakter.

> Gdzieś ty mój grzebień podziała Alino —
> Co ty tam słuchasz jak się matce marzy. —

W tych słowach odsłania się cała szkarada jéj duszy, którą dalsze wypadki rozwijają w przerażające zbrodnie. Zła córka i próżna kobieta zamienia się w ciągu akcyi w potwór, na który ze wstrętem i przestrachem patrzymy. W jednéj tylko chwili, w któréj złe skłonności mają się pierwszy raz wyrazić zbrodnią, w akcie drugim podczas spotkania się z Aliną w lesie, widzimy Balladynę wachającą się, walczącą ze sobą samą, niemającą odwagi dopełnić rękami zbrodni, która już w duszy dojrzała, nie śmiejącéj przeszkoczyć przepaści, jaka dzieli myśl od czynu, są nawet chwile, w których cofa się przed tém i woła na siostrę: idź i bądź panią. Ale są to tylko cofania się do silniejszego rozpędu, dziecinne przekomarzania się Aliny roznamiętniają ją na nowo i skłaniają do stanowczego kroku.

Ta pierwsza zbrodnia rodzi w niéj wyrzuty sumienia, żal: „Co moje ręce zrobiły, o!“ — woła pomięszana. „Któż zabija za malin dzbanek siostrę? Wczoraj mogłabym przysiądz, że nie“. Ale gdy Goplana udając głos jéj siostry, odzywa się do niéj, Balladyna szukając w koło oczyma woła: gdzie jest mój nóż? Gdy pustelnik obiecuje dla jéj spokoju wskrzesić siostrę, mówi: „Co to? ha. wyrzekłeś, że siostra moja zbudzi się? — Ja wolę umrzeć.“

Głęboko psychicznie jest pochwycony ten niby żal zbrodniarki; jéj nie żal, że dokonała złego czynu, ona tą skruchą chce tylko oszukać swoje sumienie, odpędzić widma, co ją niepokoją po pierwszéj zbrodni. Później oswaja się z tém. bez lęku bez pomięszania idzie daléj tą drogą. zbrodnia rodzi u niéj zbrodnię.

Zostawszy żoną Kirkora, człowieka wielkiéj miłości i wielkiego zaparcia się się siebie, człowieka który żałuje, że nie żył za czasów Chrystusa, by zbawić zbawcę, lub wyrąbać krocie zbójców na zemstę umarłemu, który poświęca domowe szczęście dla sprawy króla — Baladyna czuje się osamotnioną, zbrodniarka w towarzystwie cnoty nie jest swobodną, szuka pokrewnéj sobie czarnéj duszy, i znajduje ją w rycerzu Kostrynie. Oczami porozumieli się pierwéj, zanim wspólnie dokonana zbrodnia na Gralonie sprzymierzyła ich ze sobą.

Von Kostryn równie jak Balladyna pragnie wyniesienia się, zaszczytów, pragnienia ich więc spotkały się razem w owéj nocy, gdy oboje z nożami idą zabić Grabca i odkraść mu koronę Popielów, która ma im dać panowanie; ale kobieta uprzedziła w zbrodni mężczyznę, Balladyna pierwéj weszła na wieżę. Kostryn patrząc na nią zmazaną krwią, podziwia jéj „straszną odwagę“, choć może więcéj by ją jeszcze podziwiał, gdyby wiedział, że ten, którego zabiła, był dawniéj jéj kochankiem.

Podziwienia godném jest to zestawienie dwóch zbrodniczych charakterów w dramacie: mężczyzny i kobiety. Kostryn jest zbrodniarz na zimno, on nie ma wyrzutów sumienia, nie straszą go widma. Balladyna przeciwnie w ciągłéj trwodze, a jednak lękliwa jéj dusza, prześciga w zbrodni zimnego Kostryna, umie w nim nawet sądząc według siebie odgadnąć zamiar zabicia jéj, pochwycić tęm yśl i zniszczyć ją w zarodku.

„Stój tam, bo krzyknę (woła na niego, gdy się zbliżał ku niéj. z myślą zabicia jéj, by sam posiadł koronę) — stój tam, aż w tobie przeminie ta myśl, w powietrzu ją czuć. O Kostrynie, chciałeś mię zabić, serce twoje biło głośno“.

Tym instynktem zbrodniczym odnosi stanowcze nad nim zwycięztwo. Kostryn czuje się zdruzgotany tą demoniczną siłą kobiety; ustępuje jéj pierwszeństwa i mówi: „jeślim tak myślał, na wieki przeklinam ów zakąt mózgu, gdzie się urodziło to szalone dziecko“. Balladyna nie do-

znaje takich skrupółów, gdy ma usunąć go z drogi, gdy jéj zezwala ten człowiek, którego użyła za narzędzie swych celów i pragnień w chwili, gdy jéj pomógł zdobyć tron, trucizną uwalnia się od niego, i tém udowodniła, że zła kobieta w zbrodni nawet szatana zawstydza. (Ciąg dal. nast.)

ROZMAITOŚCI.

Teatr. Wypada nam zapisać dwa przedstawienia, które należą do najlepszych w tym roku: „Poczciwi wieśniacy" p. Sardou. Komedyja przedstawia w ramach wsi a raczéj miasteczka te same zabiegi, plotki, podstępy, ambicyje jakie powodują ludźmi w stosunkach wielkiego stołecznego świata. Różnica polegająca na tém, że na małéj scenie idzie o nierównie mniejsze rzeczy, nadaje tutaj ludziom i ich sprawom zacięcie komiczne. Któż nie zna i u nas owych małomiejskich figur nadętych a próżnych i wypowiadających wojnę wszystkiemu co im wykształceniem i wyższą wartością zawadza. Tak przeciw światłemu merowi w komedyi knuje spisek ambitna niby inteligencyja w osobie aptekarza, handel w osobie kramarza, przemysł i siła zbrojna w osobie ogrodnika (kapitana straży.) Spiskowi postanawiają skompromitować i usunąć mera za pomocą publicznego skandalu, i w tym celu robią obławę na domniemanego kochanka żony jego. Cały świat miejscowy i całe rodzinne szczęście mera zostaje zakłócone; wszystkie pozory zbiegają się na potępienie żony mera. Z kolizyi wydobywa wszystkich naiwna otwartość kuzynki mera, która o niczém nie wiedząc co zaszło, spowiada mu się, że ten sam człowiek, (z którym mer właśnie ma się pojedynkować po amerykańsku), jest jéj narzeczonym, że ona mu dała klucz od parku, że się poznali w kąpielach, że jutro przyjdzie prosić o jéj rękę. Cała sprawa kończy się oczywiście szczęśliwie na wielkie zmartwienie spiskowych, których plany na nic się nie przydały. — Budowa komedyi jest bardzo słabą, kolizyje naciągane, mnóstwo szczegółów luźnych, wiele szopkowatości — ale poza tém i wiele prawdy, dowcipu, dyjalogi zręczne, sceny efektowe i porywające dramatycznością. Przytém jedno jeszcze nasuwa się spostrzeżenie: Jak i w innych komedyjach swoich, tak i w téj przeprowadza autor mężatkę za jeden niebaczny krok, za jedno zapomnienie się, przez niesłychane tortury, męki i upokorzenia, zanim z obwinień czysto wyjdzie, a robi to z takim talentem, że w istocie te części komedyj stanowią ich właściwą głębszą wartość, tém bardziéj, że nigdzie moralami nie nudzi, tylko samą rzecz drastycznie rozwija. Do powodzenia komedyi przyczyniło się najwięcéj, że wszyscy artyści grali znakomicie. Pan Ładnowski, który w rolach kochanków zwykle się zanadto krzywi, mazgai i włosy na głowie rozrzuca, tą razą wyzwolił się z tych wad, co z przyjemnością zapisujemy. (Ciąg d n.)

— Z powodu, że na sobotę zeszło się na raz kilka większych zabaw i opera polska, **bal artystów i literatów** odłożony został na poniedziałek 11go b. m.

Że potrzeba specyjalnych wiadomości w wykształceniu dziewcząt coraz więcéj się rozszerza, najlepszym dowodem tego są zakłady, jakie w tym celu powstają. I tak otworzyła w Wiedniu p. Kühnel „zakład naukowy dla dziewcząt i kobiet", mający na celu wyzwolić je z konieczności zarobkowania przez roboty ręczne, przynoszące zbyt mało zysku i wypierane coraz więcéj przez wyroby fabryczne. Zakład podzielony jest na dwa oddziały. W pierwszym uczą: kaligrafii, rachunkowości kupieckiéj pojedyńczéj i podwójnéj, korespondencyi handlowéj, znajomości interesów wekslowych; w drugim: kaligrafii, rachunkowości pojedyńczéj. Pierwszy oddział obejmuje kurs sześcio-, a drugi trzechmiesięczny — lekcyje odbywają się popołudniu. W godzinach wieczornych są osobne lekcyje stenografii, języków francuskiego i włoskiego.

— **Biblioteki ludowéj** wydawanéj w Paryżu przez Władysława Mickiewicza, wyszły dotąd następujące zeszyty: Mickiewicz A., Księgi Narodu polskiego i Pielgrzymstwa polskiego; — Artykuły pielgrzyma polskiego. — Różycki K., Pamiętnik pułku jazdy Wołyńskiéj 1831 r. — Brodziński K., Mowa o narodowości Polaków i posłanie do braci wygnańców. — Kochanowski J., Psałterz Dawidowy, 2 tom.; — Threny, Satyr i Wróżki. — Malczewski A., Marja, powieść ukraińska. — Skarga P., Wzywanie do pokuty. — Brodziński K., Wiesław i Pieśni rolników. Jeden tomik po 25 cent.

Wł. Mickiewicz wydał również według pism ojca ułożoną: „Histoire populaire de la Pologne"; — 3 złr. 50 c.

— Krystyn Ostrowski ogłasza w Paryżu wydanie 18tu pieśni narodowych polskich (1797-1867) na dochód szkoły polskiéj na Batignolles.

— Wiktor Hugo ogłasza nowy dramat: Torquemada i dwie komedyje: Małgorzata i Babka.

— W towarzystwie politechnicznêm w Paryżu niedawno rozbierano pytanie: co jest **atrament** dla dam? (*Encre pour les dames*). Jaki cel ma ten atrament i z czego się składa? Rozbiory pokazały, iż składa się on z skrobi i jodu, i daje pismo pięknego niebieskiego koloru, które atoli po kilku tygodniach przez ulatnianie się jodu znika. Gdy w ostatnich czasach użyto tego atramentu do podpisywania weksli, sprzedaż jego została przez policyję paryzką zakazaną. Mniéj niebezpieczny byłby użytek tego atramentu do listów miłośnych, bowiem zaklęcia miłośne w przeciągu kilku tygodni zniknęłyby, nie zostawiając żadnego śladu po sobie; zdaje się, że ta własność atramentu była powodem nazwania go atramentem dla dam przeznaczonym. (Gaz. Przem.)

— **Przyjaźń**. Pewien biedny młynarz w Tuberkeene przy Clonmek w Anglii, wychował sobie razem gęś i kurę. Jak już dorosły, młynarka nasadziła kurę na kacze jaja, a pozostawiona sama gęś, szukała dla siebie rozrywki w spacerach po stawie. Po wykłuciu się kacząt dumna z familii swéj kura, prowadziła je na spacer, a widząc z dala na stawie swą przyjaciółkę, poszła na groblą, aż tu zaraz kaczęta za zobaczeniem wody daléjże na staw. Przestraszona ogromnie tém troskliwa matka, zaniosła się od żalu, na co gęś zbliżyła się do brzegu, poczęła gęgać, jak gdyby uspokoić chciała swą przyjaciółkę, że dziatwę bierze w opiekę i popłynęła z kaczętami. Tym spodobała się oczywiście wodna wycieczka, i na drugi dzień jak tylko je znów kura wodzić poczęła, poszły na staw. Biedna kura tak znów bardzo kwakala, że rozczulona gęś przypłynęła do brzegu, poczęła gęgać i skrzydłami ruszać, i namówiła kurę, by na jéj grzbiet wskoczyła, dopiero tak ją za kaczętami powiozła. Takie przejażdżki trwały aż do chwili póki kaczki niedorosły.

☞ **Pojedyńczych egzemp. nut** wydawanych przy „Kalinie", można nabyć po 15 c. Dotąd wyszły: Śpiew z fortepianem: Sonet Shakespeara — St. Dunieckiego; Dwie pieśni St. Niedzielskiego; Kołysanka K. Hoffmana; a w druku jest „Aniołek" z „Widm" St. Moniuszki; na fortepian: Les adieux K. Hoffmana; Chant sans paroles L. Morelowskiego.

Od zarządu sprawunkowego „Kaliny".

Czekamy z kilku miejsc na odpowiedzi, bez których sprawunków załatwić nie możemy — zwłoka będzie nie z naszéj winy. Prosimy przytém raz na zawsze o dokładne informacyje od razu.

Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.